

Jeszcze cała drżąca po tym objawieniu, zapaliłam papierosa i stwierdziłam z zdumieniem ożywczy jego aromat. (Wówczas nie było jeszcze monopolu). Widocznie papieros nabiera właściwego sensu dopiero w chwili... odpoczynku.

Zastanowiło mnie szczególne brzmienie ostatniego słowa mej myśli. Coś jakby szyderstwo ukryte – gdy podniosłam oczy, pana En już nie było.

Dziwna rzecz, jak nagle temperatura opada w te wiosenne wieczory...

Lecz okno, okno jeszcze otwarte!

Czekałam. Nie byłabym się ruszyła, choćby trzeba było przetrwać godzinę. P. N. nie wystawił jednak mej wytrwałości na podobną próbę. Po upływie kilku zaledwie sekund ukazał się znowu. O, radości gorąca! Przystawia stolik do samego okna – kładzie na nim jakieś papiery – przerzuca – wreszcie zasiada do nich z ołówkiem w ręku.

Pracuje.

Trudno mi wytłumaczyć uczucie ulgi, jakiego wówczas doznałam. Widocznie obrałam sobie pana N. za przewodnika w życie z powrotem. Widocznie wewnętrzna woła we mnie postanowiła – naśladować go w wszystkim. Tak tylko mogę pojąć swą uciechę. Jeśli moja droga powrotu prowadzi przez pracę umysłową – to nie będzie wymagać wielkich ofiar. Gorzej byłoby, gdyby ten mistrz, przez Opatrzność zesłany, zabrał się w mroku wiosennym do *trainingu* boksterskiego lub do rąbania drzewa.

A więc pracuje. Kimże on może być? – Choć podświadomie wiedziałam doskonale, że to jakiś biedny urzędniczyna lub nauczyciel, który teraz poprawia zadania swych alumnów, – przecież odepchnęłam ten fakt tak energicznie, że w tej chwili dopiero, pisząc te słowa, znalazłam siłę skonstatować go. Wówczas natomiast postanowiłam, że p. N. jest – matematykiem. Dlaczego? – W tym musi kryć się jakiś kompleks. Spytajcie Junga¹⁵.

Pracował. Pracował. Pewno obliczał – no co na przykład? – Objętość hiperboloidy¹⁶ na podstawie analityki przestrzennej¹⁷ (nie umiem sobie bowiem wyobrazić wyższego Gaurizankaru¹⁸ matematyki ponad hiperbolę ani głębszych arkanów tajemnych od analityki przestrzennej. W moim podręczniku bowiem hiperbola była na samym końcu, a trójwymiarowej analityki wcale nie było). Lecz jakże tu obliczyć objętość hiperboloidy? Przecie hiperbola jest linią nieskończoną – hm.

On to potrafi. On pracuje; on zna całki i różniczki. On nie połamię nóg na drugiej stronnicy tego dzieła o Einsteinowskich teoriach, tam, gdzie pierwsza formułka się czai –

Tak. Dla niego krótka chwila bezczynności jest istotnie o d p o - c z y n k i e m. Lecz dla mnie...?

Ale ja też pracuję! Przecie siedzę w biurze przez siedem godzin dziennie i kłapię na remingtonie¹⁹, i snuję po papierze girlandy steno-gramów –

Pani szanowna, ty t o nazywasz pracą? – –

Smutna, przygnębiona, zziębnięta wróciłam do *Stalej Nimfy*. Piękna to rzecz – o jakże piękna. Lecz zapewne przyjemniej było pisać ją, niż mnie tylko czytać. Literatura to jednak bezcenny dar bogów – ale przecież istnieje w dziedzinie umysłu sztuka od niej nawet szlachetniejsza: matematyka, krystalizacja myślenia.

A ten pan naprzeciw włada tą kwintesencją myśli, umie nadać jej czysty kształt kryształu – Ja zaś nie potrafiłabym stworzyć ani czterna-stoletniej nimfy, której miłość żywiołowa przerasta pospolitą erotykę – ani formułki na objętość hiperboloidy.

Ani, skorośmy się uparli coś znaleźć – ani sukni dla siebie. Ani jed-nej bodaj uczciwej potrawy.

O północy przeżyłam nagłą śmierć Tessy²⁰, w nieczystym pokoju czwartorzędnego hotelu, w ramionach ukochanego – jeszcze nie ko-chanka nawet. Umarła w przeciągu minuty na udar sercowy, ponieważ jemu nie chciało się pomóc jej przy otwieraniu okna o przyrdzewiałej zasuwce. Słyszałam syk gołej lampy gazowej, ujrzałam olbrzymie, już ślepe źrenice konającej, wpatrzone w nią błędnie – I razem z opuszczonym nie chciałam uwierzyć. Aż do końca rozdziału ufałam, że się dziewczynka jeszcze zbudzi.

Natomiast ja się zbudziłam. Absolutnie sama – na bezkresnych pus-tyniach Alaski. Jak co dzień zresztą, gdy wyczerpana opiumowymi rozkoszami zamykałam skończonego Tauchnitza. O, ta jedna chwila powrotu do przytomności! To szczególne ściągnięcie się serca – i dłu-gie, uparte, nieruchome nasłuchiwanie, nerwami z głodu drżącymi – szalona, zawsze płonna nadzieja, że może się jednak coś poruszy – Lecz jak co dzień, tak i dziś: obok – u góry – u dołu nawet – cisza śmiertelna.

De profundis clamamus ad te, exsules filii Hevae... Ad te suspi...²¹.

NIE!!! Tam naprzeciw – światło w oknie! Pan N. czuwa – myśli – pracuje. Rzuciłam się ku oknu, otworzyłam je z hałasem. Och, gdyby mnie teraz spostrzegł! Gdyby mnie tak musnął, obdarzył myślą przelotną – jako istotę ludzką, która też jeszcze nie śpi –

Wiedziałyby odtąd o mnie. Świadomość trwa niezatarta, chociaż się myśli o innych rzeczach. Byłabym od tej chwili bezpieczna, uzbrojona przeciw nienazwalnemu –

Tymczasem stałam niezdecydowana na środku pokoju. Nie miałam na co czekać; lecz dzień mój trwał siedemnaście godzin, a obecnie leżał przede mną rozpostarty, skończony, równie pusty wszakże, jak u początku –

Jakże tu iść spać po zmarnowanym dniu, kiedy tam naprzeciw pracownik niezmordowany – jeszcze czuwa?

Wstyd mi było. Lecz był to wstyd świeży, zbawienny, jakiego człowiek tylko sam na sam z swym sumieniem doznaje. Cóż począć? Chodziłam po pokoju, zerkając co chwila, czy żółte okno nie zgasło nareszcie. Wnet wpadłam na słuszne spostrzeżenie, iż właściwie szkoda tak łązić bezmyślnie; że można by wypełnić chociaż ostatni rożek niezucytego dnia. Poczęłam zatem wygłaszać *ex improviso*²² krytykę literacką przeczytanego dzieła. Po kilku zdaniach wolałam dać spokój; zdawało mi się, że taktowne milczenie ścian nie zdoła pokryć lekkiego zarumienienia; były stanowczo zażenowane. – Nie dość bowiem na tym, że już po pierwszym zdaniu poczęłam kręcić się w kółko – fakt: o książce, która zrobiła na mnie wrażenie wstrząsające, w godzinę po skończeniu nie umiałam nic powiedzieć! – lecz nawet tych kilku mizernych ochłapków myśli, na jakie mózg zgnuśniały jeszcze było stać, nie potrafiłam wyrazić słowami!

Poszłam zatem spać. Uznałam, że na razie szkoda tej odrobiny gazu, oświecającej moją nicość; równocześnie jednak nicość tę przyjąłam za w ł a s n ą winę. Nie wiedziałam wówczas, że tym samym obrałam drogę życia.

Brak mi było podstaw – form – kryształu. Wobec tego wydałam na zajutrz połowę pensji miesięcznej na sześć rozmaitych dzieł, obejmujących całokształt matematyki średniej z analityką przestrzenną włącznie. Dodałam elementarz rachunku różniczkowego. Zjadłam obiad pospiesznie – po czym, ułożywszy nowiusieńkie akcesoria pod prostymi kątami, zabrałam się do pracy.